



Fot. Maciej Kaczyński, Centrum Kultury ZAMEK

Z Igorem Jarkiem, laureatem Poznańskiej Nagrody Literackiej  
– Stypendium im. Stanisława Barańczaka 2021  
rozmawia Joanna B. Bednarek

## Prawie mi się udało

**Joanna B. Bednarek:** Z przyczyn po części od nas niezależnych rozmawiamy zdalnie. Nie możemy więc wybrać się na spacer. Ale może nic straconego... Wszak mam wrażenie, że Nowa Huta funkcjonuje poniekąd jako opowieść. Może „oprowadzisz” mnie za jej pomocą po swojej Nowej Hucie?

**Igor Jarek:** Jasne! Nasze mieszkanie na Nowej Hucie znajdowało się – bo teraz już mieszkamy na Bronowicach – niedaleko placu Centralnego. Swoje zwyczajowe, codzienne spacery rozpoczynałem przeważnie około południa. Z córką w nosidle. Wyobraź więc sobie, że jest z nami Iga i że ruszamy. Nowa Huta wygląda zupełnie zwyczajnie. I dość pusta, większość ludzi jest już w pracy. W pobliżu placu Centralnego jest wiele banków, więc raz po raz widzujemy pracowników

załatwiających rozmaite sprawy. Gdzieś dalej jakichś lokalnych typów stojących pod Żabką. Generalnie na ulicach nie dzieje się nic, czego nie można by zobaczyć w innej dzielnicy czy innym mieście. Skręcamy wzdłuż alei Solidarności i przez kolejne osiedla – Stalowe, Teatralne – kierujemy się w stronę Zalewu Nowohuckiego. Jest on przeważnie opanowany przez wędkarzy poubieranych w stroje moro. Swoją siedzibę mają w Domu Wędkarza – tym, o którym piszę w *Halnym*. Zresztą oni są tu zawsze – nad zalewem bywałem o różnych porach: z samego rana, wieczorami, czasem o trzeciej lub czwartej w nocy, gdy nie mogłem spać. I zawsze ich tu widywałem; podpatrywałem ich patenty na trzymanie kawy, podświetlanie czytanych w mroku gazet. Podobało mi się to, że potrafili na kilka godzin zaadaptować sobie kawałek przestrzeni. Przeważnie wokół zalewu robiłem kilka kólek – obchodziłem go trzy czy cztery razy. Przysiadalem z Igą na jednej z ławek; mam swoją ulubioną. Jeśli była zajęta, to czyhałem, aż się zwolni – spacerowałem w pobliżu, dreptałem, przystawałem.

### Dlaczego ona? Coś z niej widać?

Ona znajduje się w jednym z „rogów” zalewu. Widać z niej całą przestrzeń, każdą alejkę. Mogłem tu siedzieć i obserwować. Dobre miejsce do przypatrywania się ludziom. Zgoda, to nieco creepy. Z tej ławki idę z Igą na plac zabaw. Spacer zajmuje półtorej lub dwie godziny...

### Piękny spacer!

To były bardzo przyjemne chwile. Myślałem w tym czasie sporo nad *Halnym*. I zaczęło mi się go dobrze pisać. Mało w życiu jest takich chwil: żeby czuć, że się znalazło w odpowiednim miejscu. Tych kilka lat temu właśnie tak się czułem. Że w końcu z tym miejscem coś zażarło.

### Czyli nie od razu polubiłeś Hutę?

Początkowo Huta była dla mnie obcym miejscem. Nie chodziło o to, że mi się nie podobała. Po prostu nie miałem tam nikogo – poza żoną i dzieckiem oczywiście.

Zapytałam o spacer, bo są one ważnym elementem zarówno Twojej pracy opiekuńczej, jaki i swoistej origin story *Halnego*. Z tym

że Nowa Huta, którą mi właśnie pokazałeś, jest jednak zupełnie inna niż ta w *Halnym*...

Bo *Halny* nie powstał ze spacerowych zasłyszeń i spacerowych dyskusji. To raczej moje przeżycia jeszcze z Katowic.

Pamiętam, że przyznawałeś, iż historie z *Halnego* mogłyby się wydarzyć na tamtejszych osiedlach – katowickiej Paderewie lub na Nikiszowcu, gdzie się urodziłeś. Pamiętasz Nikisz z czasów, nim stał się modnym, hipsterskim miejscem.

Zdecydowanie! Z Nikisza była rodzina mojej mamy – mieszkaliśmy tuż obok, na innym osiedlu w dzielnicy, ale bywaliśmy na nim codziennie. Pamiętam spacer z dziadkiem, który pokazywał mi różne miejsca – mówił na przykład: „A tu był szynk”. Pamiętam, że gdy wchodziło się na Nikisz od strony dzielnicy Korea, na pierwszym bloku był napis: „Lepiej z chuja zrobić skręta niż z Wałęsy prezydenta”. Jeśli z kolei wchodziło się od strony Janowa, mijano się tory kolejowe. Na trakcjach wisiały popalone szaliki przeciwnych drużyn, bo cały Nikisz solidarnie kibicuje Ruchowi Chorzów. Wygląda to podobnie do opowieści ludzi, którzy mieszkali w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych na Hucie.

Byłaby to opowieść o swoistym łagodnieniu – Nikisz i Nowa Huta w zbiorowej wyobraźni oznaczone były, pewnie nieprzypadkowo, tabliczką „groźne”, „niebezpieczeństwo”, „lepiej tam nie chodzić”. A dziś są miejscem na spacer, a nawet – weekendowy wypad.

Właśnie tak! Kiedyś były to miejsca raczej zamknięte, niechętnie odwiedzane przez ludzi spoza. Ludzie raczej bali się tam chodzić – nie wiadomo było, czego się spodziewać po zmroku. Ja mogłem chodzić po Nikiszu spokojnie – po pierwsze byłem stamtąd, a po drugie mój wujek był piłkarzem Ruchu Chorzów [*śmiech*]. Zresztą on był głównym środkowym pomocnikiem w słynnej kadrze z Kazimierzem Deyną!

No coś Ty!

To fajna historia. Sporo osób go kojarzyło. Jego morda była na dużym transparencie na każdym domowym meczu Ruchu.

Cała ta opowieść w pewien sposób potwierdza moje wrażenie: że miejsca, z którymi wiążesz się biograficznie i twórczością, to miejsca z jednej strony silnych tożsamości – skonsolidowanych, zamkniętych na to, co obce, obrosłych legendą grozy – z drugiej zaś tożsamości traconych. Zamykana kopalnia, wygaszana huta, koniec końców gentryfikacja przestrzeni.

Nie wiem, może intuicyjnie wiążę się z takimi miejscami... Czasami tęsknię do tego, że Nikisz był tylko „nasz”. Że mieszkali tam niemal wyłącznie ludzie, którzy pracowali na kopalni. Jedno z pierwszych pytań, gdy kogoś się spotykało pierwszy raz, brzmiało: „Na którym oddziale pracuje twój tata?”, „W jakiej jest brygadzie?”. To oczywiście od razu budowało pewne kasty. Nikisz to takie miejsce, które po prostu mam w krwioobiegu. Ale też cieszę się, że przechodzi przemiany. Wydaje mi się też, że w każdym miejscu, w którym się przebywa dłużej, odkrywa się specyficzną historię i sporo nostalgii.

**A po Bronowicach dobrze się spaceruje?**

Równie dobrze, co po Hucie. Nawet teraz, kiedy Iga chodzi do przedszkola, mam pretekst do spacerów – bo mam dwa psy. A Bronowice, jak na przedmieścia, okazują się ciekawe. Mają swoje tajemnice i swoje demony. Zresztą – jeśli pytasz w kontekście opowieści – mogę paszytytować prawie na wszystkim.

\*\*\*

**Zapytam nieco prowokacyjnie: utrzymujesz się z pisania?**

Gdybym chciał żyć tylko z pisania, z pewnością bym się nie utrzymał. Nie wiem, czy mógłbym sobie pozwolić na pisanie, gdyby nie to, że moja żona ma dobrą etatową pracę. Owszem, pieniądze z *Halnego* były większe niż ze wszystkiego, co napisałem, ale to nie stałe zastrzyki gotówki. Nie mam też poczucia, by mój poziom pisania zasługiwał na to, żeby się z niego utrzymywać.

Pytam o to nie tyle w kontekście zawodu pisarza, ile sprawy, która wybuchła przy okazji licznych nominacji do nagród dla *Halnego*. Nie byłeś wówczas pewien, czy będziesz mógł odebrać nagrodę, jako że jesteś opiekunem dziecka z niepełnosprawnością i pobierasz zasiłek pielęgnacyjny. Świadczenie uniemożliwia jednak zarobkowanie,

bo ustawodawca postawił opiekunów przed wyborem: albo opieka (i zasilek), albo praca. Co oznacza, że nie możesz podpisać żadnej formy umowy, nawet na niewielką sumę. Niedawno tę sytuację przypominała w swoim tekście-manifeście *Gdzie są te dzieci? W dupie!* Agnieszka Szpila.

Sytuacje Agnieszki i moja są zasadniczo podobne, choć w przypadku samych nominacji trochę inaczej to wygląda [Szpila znalazła się wśród 20 autorek i autorów nominowanych do Nagrody Literackiej Nike 2022 – przyp. J.B.B.]. Kiedy opublikowałem emocjonalny wpis na Facebooku, wiedziałem już, że dostanę jakieś pieniądze – nawet jeśli nie wygram. Z powodu stanu pandemii kapituła Paszportów „Polityki” postanowiła wówczas przyznać każdemu z nominowanych nagrodę w wysokości piętnastu tysięcy złotych. Postawiło mnie to w trudnej sytuacji – musiałem się zastanowić, czy i co mogę zrobić. Pamiętam, że na początku próbowałem dowiedzieć się, co z tym zrobić, w urzędzie miasta. Ale nie wyszło to za dobrze – to znaczy nikt nie potrafił mi udzielić wiążącej informacji, albo też może to ja nie potrafiłem tych informacji zrozumieć. Wtedy napisałem post – i zaczęła się cała burza. Burza, która szybko przeminęła – w dwojakim sensie. Z jednej strony – bo dość szybko zadzwoniła do mnie dziennikarka ze specjalistycznego portalu i wyjaśniła, co mam zrobić. Z drugiej – bo ogóle zainteresowanie mediów i środowiska szybko wygasło.

W tym wszystkim istotna wydawała mi się także inna dwoistość, której wspólnym mianownikiem był zawód pisarza. Z jednej strony, jak każdy inny, wymagający podpisania umowy, opłacenia składek etc. Z drugiej strony zawód specyficzny, jako praca twórcza – Szpila przypominała o tym, że nie mając umowy, traci także prawa autorskie do swoich tekstów.

Ta kwestia była ważna i dla mnie – pojawiła się szybko po burzy około nominacji dla *Halnego*, przy okazji podpisywania umowy na kolejną książkę. Na szczęście w nowym wydawnictwie trafiłem na wspaniałe redaktorki, które zadbały o to, by prawa autorskie do książki zostały przy mnie, a prawa majątkowe miała moja żona. W tym kontekście muszę przyznać, że trochę zdziwiły mnie komentarze pod tekstem Agnieszki Szpili w sieci – koleżanka pokazała mi kilka, w których pisano, że mi się udało załatwić sprawę, bo jestem facetem. Absolutnie rozumiem taki tok skojarzeń – też uważam, że kobietom dużo trudniej jest cokolwiek załatwić, muszą za każdym

razem rozpoczynać ciężką walkę. Poza tym uważam, że tamta burza z przełomu 2020 i 2021 roku powstała tylko dlatego, że trzydziesto- paroletni, jakoś tam zdolny, biały facet nie mógł dostać czegoś, co mu się należy. Kiedy w 2018 roku matki dzieci z niepełnosprawno-ściami strajkowały w sejmie, niemal wszyscy to zwyczajnie olali. Pod tym względem rozumiem te komentarze. Ale muszę zaznaczyć, że to nie było tak, że mi się coś „udało” gdzieś „przepchnąć”. Po prostu trafiłem na wspaniałe kobiety, które służyły mi fachową poradą – i wszystko zostało rozwiązane zgodnie z przepisami. Nie należy deprecjonować ich wysiłku, by rozwiązać moją sprawę. To zresztą znaczące, że pomogły mi kobiety. Nie zadzwonił żaden mój kolega, który miałby kompetencje, by powiedzieć: „Stary, musisz zrobić tak i tak”. Odezwały się za to kolejno dziennikarka, koleżanka pisarka, która z wykształcenia jest prawniczką, inna dziennikarka – i to one wszystkie wyciągnęły mnie z tego galimatiasu.

**To, o czym teraz rozmawiamy, dotyka kilku ważnych kwestii. Między innymi nieklarowności prawa, braku dostępu do informacji, braku edukacji odnośnie do prawa. Ale nie rozmawiamy o prawie wąsko – jako świadczeniu socjalnym. Zarówno Ty wówczas, jak i Agnieszka Szpila teraz mówiliście wprost, że praca jest wam zwyczajnie potrzebna, bo równoważy obciążenia i trudy opieki. Większość sądzi, że opiekun czy opiekunka osoby z niepełno-  
sprawnościami potrzebują przede wszystkim wytchnienia, odpoczynku – wy wskazaliście, że szukacie raczej doraźnej ucieczki, innej przestrzeni. Praca jest wam potrzebna nie tylko dlatego, że zasilek nie wystarcza na pokrycie kosztów związanych z terapią, ale także dlatego, że możliwość pracy jest elementem stanowiącym o suwerenności człowieka.**

Nie bez powodu, jak sądzę, więźniowie w zakładach karnych czują się wyróżnieni, mogą pracować. Możliwość pracy jest jednym z podstawowych praw człowieka. Wiadomo, że kochamy swoje dzieci. Ale kiedy dzień w dzień robisz coś, czego nie wybrałeś i na co nie masz wpływu, narasta w tobie poczucie, że życie stało się pułapką. Z tym przychodzi frustracja. Świadomość, że nie możesz się w żaden sposób spełniać, odbiera poczucie tożsamości. To się nie może skończyć dobrze. W moim przypadku też tak było – początkowo potraktowa-  
łem sprawę zadaniowo, aż po pewnym czasie, po kilku latach, doje-  
chała mnie depresja.

Zresztą pamiętam, że w czasie tamtej burzy dostałem sporo maili – przede wszystkim od kobiet. Stanowiły one przekrój całego społeczeństwa – pełna gama. I wszystkie chciały tego samego: pracy. Jako chwilowej odskoczni, jako możliwości spełnienia, jako namiastki „normalności”.

**Gdyby ktoś zaprosił Cię do stołu, przy którym negocjowano by nowe regulacje wobec osób sprawujących opiekę – poszedłbyś?**

Nie wiem, czy byłbym dobrym reprezentantem. Uważam, że twarzą takiej kampanii powinna być kobieta. Niestety, to pokazał nam strajk w sejmie w 2018 roku – że to przede wszystkim doświadczenie samotnych kobiet. Zresztą to było dla mnie bolesne w czasie „paszportowej” burzy – że, może trochę niechętny, stałem się chwilową twarzą tego problemu, a umęczonym matkom wcześniej odebrano prawo do wypowiedzenia swoich historii.

**Wyobrażałam sobie, że nie byłbyś przy tym stole ani jedyną osobą, ani jedyną osobą z doświadczeniem opiekuńczym. Nie o twarz by chodziło, ale o reprezentację doświadczeń.**

Wówczas bym poszedł. Mam poczucie, że gdybym miał być tam tylko ja, to nie byłbym odpowiednim reprezentantem, bo nie odczuwam tego problemu z całą mocą i obciążeniem. W końcu ja akurat mam możliwość, żeby się realizować. A uwierz mi, cały ten koszmar staje się nieco bardziej kolorowy, gdy możesz robić coś, w czym jesteś dobry, albo coś, co lubisz. Prawdę mówiąc, czuję się trochę jak cwaniak, któremu się udało.

**„Cwaniak” to chyba słowo nie na miejscu, bo naznaczone jakąś przebiegłością, egoizmem. Bierzesz w ten sposób na siebie winę za coś, w czym nie zawiniłeś. To zresztą kolejny okrutny mechanizm systemowy. Jeśli w prawie jest luka, która pozwala na coś tobie, a innym nie – to masz z tego powodu poczucie winy.**

Masz rację – tak się czuję, bo tak każe mi się czuć państwo. To państwo zmusza mnie, bym postępował tak, a nie inaczej, a z powodu tego czułem się wręcz oszustem. A ja naprawdę nie lubię się tak czuć, nie lubię też kombinować; chciałbym to wszystko załatwić i robić normalnie.

**Co wobec tego byłoby Twoim postulatem? Na co byś zwrócił uwagę lub przed czym przestrzegał?**

Myszę, że jedno chciałbym powiedzieć najbardziej: oddajcie nam nasze życie. Ciężko się żyje, kiedy masz wrażenie, że jesteś ofiarą. A jesteś ofiarą – i nie chodzi mi tu o „wyroki losu”, ale o konkretny zapis prawny. Żebyśmy odzyskali życie, trzeba go zmienić. To byłby główny mój postulat – zmienić zapisy prawne tak, by umożliwić rodzicom i opiekunom samostanowienie. Poszedłbym na takie rozmowy z hasłem: „Oddajcie nam życie – skoro tak go bronicie”.

Na takim hipotetycznym spotkaniu chciałbym jednak przede wszystkim oddać głos tym, którzy dotąd nie mieli możliwości opowiedzenia swojej historii, a czują taką potrzebę.

**Chyba już wcześniej miałeś podobny pomysł. Około nominacji do Nagrody-Stypendium Barańczaka zastanawiałeś się, czy coś zrobić z listami, które otrzymałeś od matek opiekujących się dziećmi z niepełnosprawnościami. Przyznawałeś, że miałeś jakąś koncepcję – ale pomysły, jak to pomysły, dojrzewają i są weryfikowane. Jak potoczyły się losy tego projektu?**

Ostatecznie zrezygnowałem – z kilku powodów. Wówczas to wydawało mi się oczywistym pomysłem – ale zarazem wiedziałem, że musiałbym podjąć się reporterskiej pracy i odwiedzić te osoby. Trochę się przestraszyłem. Po pierwsze, że nie mam w tym doświadczenia – są zaś autorzy, którzy potrafią to robić znakomicie. Dobrym przykładem jest tu książka Jacka Hołuba *Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci*. Po drugie zaś nie byłem pewny własnych emocji. Zacząłem się bać, że zająłbym konkretnym osobom czas, namówiłbym do zwierzeń, a potem pokonałyby mnie własne demony. Strasznie ciężko było mi przeczytać tekst Agnieszki Szpili. Co dopiero usłyszeć wiele podobnych historii i wziąć za nie współodpowiedzialność?

Kłopot polegał też na tym, że jestem w kręgu osób zainteresowanych – a może powinien o tym napisać ktoś, kto ma dystans, dla kogo nie jest to oczywiste. Ostatecznie przyszła pandemia i zarzuciłem pomysł. Może jeszcze kiedyś do niego wrócę. Ale na razie gonią mnie terminy wydawnicze.



\*\*\*

W sumie zastanawiam się, czy po tym, co powiedziałem, nie będę miał kłopotów urzędowych albo prawnych. Agnieszka Szpila pisała, że jej tekst to eksperyment – sprawdza nim, czy tekst trafi do ludzi, którzy mogą odebrać świadczenie. Może nasza rozmowa też do tego zmierza?

Po „paszportowej” burzy wydawało się, że skutek będzie odwrotny – dowiedzieliśmy się wówczas, że powstał wstępny projekt ustawy, która umożliwi osobom pobierającym świadczenia pielęgnacyjne podjęcie dodatkowej pracy. Potem temat ucichł. Ta doraźność, o której już wspominałeś, wydaje mi się boleśnie istotna. Wtedy zrobiło się głośno, przez moment wszyscy służyli radą, wsparciem, pytali, jak sobie (po)radzisz z sytuacją. Nominowanym do nagrody jest się jednak przez kilka miesięcy, a dziecko z niepełnosprawnością masz codziennie i na całe życie.

Najgorsze jest to, że to nam zabrało przyszłość. Nagle boisz się o niej myśleć. Bo co będzie? Kiedy rodzi ci się córka, wyobrażasz sobie, że będzie dorastała. Ach, jak to będzie świetnie, jak pójdzie na studniówkę! Widzisz mnóstwo scenek i sytuacji. A diagnoza nagle zabiera przyszłość, żyjesz bez niej.

\*\*\*

Literatura jest przestrzenią, w której możesz rozważać alternatywy, uruchamiać wyobraźnię, którą zablokowała rzeczywistość.

Zdecydowanie! Już wspominałem, że to forma ucieczki, odskoczni. Ale to też po prostu emocjonalna przyjemność – na kilka godzin dziennie zanurzyć się w odrębny świat, pomyśleć o kimś innym. Świetnie, że podkreślamy tę alternatywność, a więc fikcyjność świata. Wielokrotnie podkreślałem, że *Halny* nie jest reportażem; że nie ma takiej Huty. A mimo to spotkałem się z krytyką, że coś się nie zgadza w tym świecie – nawet topografia! Pamiętam, że w jednym z podcastów zarzucono mi, że „ludzie tak nie mówią”. To wydawało mi się zbyt szerokim zarzutem.

Wydaje mi się, że jedynym sposobem na tego typu dyskredytację prozy jest wskazanie na nieuzasadnioną niekonsekwencję. Czyli

należałoby wykazać, że Twoi bohaterowie przez pierwszą część opowiadania używają wulgaryzmów, a w drugiej gwary; na pierwszych stronach mówią erudycyjnie, wyszukany, językiem, by następnie bez fabularnego uzasadnienia zapomnieć, jak wygląda składnia języka polskiego. Zresztą nawet jeśli bohaterowie *Halnego* mówią inaczej, to strasznie polubiłam sposób ich mówienia. Wydaje mi się, że w ich frazie odbija się całe splątanie, mętlik ich świata. Trochę to taki bałagan językowy, jak w monologu Silnego z *Wojny polsko-ruskiej*. Tworzy wiarygodność świata przedstawionego. Ten język złożony jest przecież z tego, z czego utkana jest rzeczywistość – miesza się w nim to, co bohaterowie znają z popkultury (komedia romantyczna, Batman), co pamiętają ze szkolnej edukacji, z własnych i cudzych doświadczeń, co znają z aspiracji i marzeń.

Każdy z nas ma taki bałagan w głowie czy w języku! W naszej rozmowie też on jest. I dobrze.

\*\*\*

Wyobrażasz sobie wydanie *Halnego* po śląsku? Niedawno inna nagradzana książka – *Kajs* Zbigniewa Rokity, laureata Nike, Ślązaka z pochodzenia – ukazała się w przekładzie Grzegorza Kulika na język śląski.

Oczywiście, że sobie wyobrażam. Nie byłoby to aż takie trudne – kiedy przygotowywałem do druku *Halnego*, czyściłem go z tego, co było napisane po śląsku. Pisząc, pilnowałem się, żeby nie wrzucać do środka *godki*. W całości tekstu nie była więc widoczna – ale w poszczególnych frazach, wyrażeniach już tak. Więc jasne, że można by to po śląsku wydać – pytanie tylko, po co.

Odpowiedzi mogłyby być różnorakie. Wcześniej rozmawialiśmy o odchodzących tożsamościach – chociażby dlatego broniłabym tego rodzaju pomysłu. Dla świadectwa kulturowego, dla upowszechnienia pewnego języka.

Może wątpię dlatego, że sam nie mówię po śląsku ładnie. Kiedy słyszałem, jak robi to Szczepan Twardoch – którego książkę przecież również przełożono na *godke* – to zazdrościłem mu, że brzmi jak u Kutza! Nie mam takiego daru. Mam też wrażenie, że dla wielu ludzi całe akapity po śląsku byłyby po prostu niezrozumiałe – nawet jeśli

znają poszczególne słowa. Rzesza mieszkających na Śląsku nie zna biegle tego języka. A jeśli znają – nie jestem pewien, czy chcieliby przeczytać *Halnego*. Dla części z nich pewnie lepiej byłoby przetłumaczyć coś poważniejszego. Dla pozostałych – coś o samochodach czy piłce nożnej.

### Historię Ruchu Chorzów?

O, tak! Chciałbym być zrozumiany – promowanie języka śląskiego to świetna inicjatywa. Jestem sceptyczny tylko wobec tego, czy przysłużyłoby się temu tłumaczenie akurat mojej prozy. Ale tłumaczenia reportaży Rokity jestem bardzo ciekawy!

\*\*\*

Każda książka to rozpoczynanie od zera – co jest dla mnie przerażające, czuję się jak żółtodziób. Niby masz jakieś doświadczenie, ale jakbyś uczył się pisać na nowo.

Może dlatego wypróbujesz różne gatunki? Debiutowałeś jako poeta (tomikiem *Różyczka*, potem ukazała się jeszcze *Białaczka*), następnie tworzyłeś scenariusze komiksu (*Słowackiego; Spodouści; Czarna studnia*), napisałeś dwa krótkie dramaty (*Glück Auf! i Królowa*). Potem przyszedł *Halny* ze swoją specyficzną prozatorską konstrukcją, w której akapit zazwyczaj ogranicza się do zdania. Fragment Twojej nowej powieści drukowany kilka miesięcy temu w „Znaku” z kolei sugeruje, że tym razem myślisz mikroakapitami. Z mojej perspektywy to wygląda tak, jakby wydłużała Ci się fraza. Jakby nie starczało Ci wersu i potrzebowałbyś więcej.

Chyba za blisko jestem tego, żeby móc to zaobserwować. Nie wiem, na jakiej zasadzie się to skrapla w człowieku. Bo powiedziałem, że ciągle uczę się pisanie od nowa – ale zarazem mam poczucie, że jestem w pisaniu skazany na to, co znam najlepiej.

### To znaczy?

Kopalnia nauczyła mnie, żeby nie skreślać ludzi na początku. Tam nie powiesz: „Dobra, pierdolisz głupoty, idę sobie stąd”. Możesz nie lubić kolegi na początku – ale ile się można nie lubić! Przecież będziesz widywał go codziennie, po szachcie będziesz mu mył plecy,

wspólnie będziecie doświadczać namacalnego niebezpieczeństwa. Zaczniecie rozmawiać, bo musicie. I okazuje się, że można nawiązać więź. Że łatwiej jest pewne rzeczy zaakceptować i ponad nimi się dogadać. Mam nadzieję, że to widać w moich książkach.

Jest trochę tak, że nadzieja u bohaterów *Halnego* pojawia się, gdy zaczynają rozmawiać z innymi. Otrzymują drugą szansę w momencie, w którym wchodzi w interakcję, budują więzi. Tak jest na przykład wówczas, gdy Bartek przychodzi z piwem do swojego ojca – i idą wspólnie zaśpiewać kolędy. Z kolei gdy dochodzi do nieporozumienia, gdy komunikacja się kończy, a więź zrywa, sekwencja wydarzeń zaczyna przypominać również pochyłą. Tak jest w przypadku Królowej i Krystiana, tak jest w przypadku Julii i ojca Bartka. Jeśli więc chciałeś, żeby to przeszło do Twojej prozy – to jak najbardziej tak się stało.

Cieszę się! Sam nie mogłem tego zweryfikować. Nie miałem *Halnego* w rękach praktycznie od premiery, więc trochę go zapomniałem.

Miałam wrażenie, że przede wszystkim silnie narzuca się w nim fatum bohaterów. Niekoniecznie chodzi tu o antyczne wzorce – przez pryzmat których zresztą krytyka lubiła odczytywać *Halnego*. Raczej o to, że pewna część ich życia decyduje się poza nimi – i niekoniecznie będą mieli na to wpływ.

Jasne, tego typu determinacja dotyczy bohaterów *Halnego*. Ale zarazem oni reprezentują coś więcej.

Co masz na myśli?

Zanim pracowałem na kopalni i zanim zacząłem pisać, podejmowałem się różnych robót – często na czarno. Z racji tego spotykałem różnych ludzi – często takich na życiowych zakrętach, niegdyś karanych albo z długami, którzy próbowali sobie życie na nowo ułożyć. To chyba odcisnęło największe piętno na *Halnym*. Takie historie mnie najbardziej pociągają, z nimi współgra moja wrażliwość. Przy okazji spotkań zadawano mi pytanie, dlaczego ta opowieść jest tak pesymistyczna, dlaczego bohaterowie kończą źle. A według mnie oni nie kończą źle! To znaczy – ostatecznie może i tak jest. Ale chodzi mi o to, że bohaterów nie określa to, jak kończą, ale to, że mieli szansę swoje życie zmienić i starali się ją wykorzystać. Zawalczyli.

To prawda, żaden z Twoich bohaterów nie jest bierny wobec swojego losu. Każdy podejmuje działanie.

I na końcu każdy może sobie powiedzieć: „Okej, prawie mi się udało”.

To chyba niezłe podsumowanie. Gdyby mogli powiedzieć sobie prościej: „Udało nam się”, toby oznaczało, że ich historia jest zamknięta. W dosadności zaś pobrzmiwałaby pewna nuta fałszu. A w tym „prawie”, w wątpieniu, zawiera się kawał historii do wypełnienia i do opowiedzenia. Takiej, która będzie dalej pracować.

Myszę sobie czasem, że chciałbym – gdyby przyszło mi umierać – móc sobie powiedzieć to samo: prawie mi się udało. Byłbym z tego nawet dumny.